ZACHOWAĆ W PAMIĘCI -
HISTORIA MOJEJ RODZINY

ALICJA CISZEWSKA

Przed wojną mieszkaliśmy w niedużym miasteczku na Wileńszczyźnie w Szczuczynie Nowogródzkim. Była nas czwórka – Jurek, Zbyszek, Basia i ja najmłodsza Lala. Był też piesek Puszek. Ojciec nasz Kazimierz Szmigiero był przemysłowcem leśnym i powodziło się nam doskonale. Nic więc dziwnego, że dom nasz był najokazalszy w mieście, a mama nasza najwytworniejszą z dam. Do dziś pamiętam jej niektóre kreacje, a jej długa czarna, ponadczasowa suknia z wiedeńskiej koronki, która cudem przetrwała do dziś i w której sama przetańczyłam niejedną noc, wciąż jeszcze wzbudza podziw i zazdrość moich przyjaciółek. Ojciec miał własną firmę – „Kazimierz Szmigiero przemysł i handel drzewny w Szczuczynie Nowogródzkim". Miał wielki talent do robienia interesów i w rodzinie, oraz wśród znajomych utarło się, że o kimś podobnie przedsiębiorczym mówiono: „ten to ma głowę Szmigiery". Ojciec pochodził ze szlachty herbu Ślepowron. Po nim i ja to szlachectwo nabyłam. Mam potwierdzenie tego faktu specjalnym dokumentem, wydanym przez Związek Szlachty Polskiej Kresów Wschodnich w Poznaniu. Mój syn Jacek, który również ma głowę Szmigiery, dworuje sobie z tego certyfikatu, a ja się też nim nie chwalę. Do niczego mi to nie jest potrzebne, a w przeszłości przyniosło wiele udręki. Ojciec miał dziewięcioro rodzeństwa. Szczególnie zażyłe stosunki łączyły nas z wujkiem Jankiem, który dzięki memu ojcu ukończył elitarną Szkołę Podchorążych w Grudziądzu. Klikając w komputerze znalazłam wzmiankę o nim: Jan Kowalczyk – Polacy w Olimpiadach Jeździeckich: „Konie grupy ewakuowane marszem pieszym z Grudziądza do Garwolina pod dowództwem por. Jana Szmigiero z 9 Pułku Strzelców Konnych, zostały zaatakowane przez lotnictwo niemieckie i prawdopodobnie wszystkie zginęły i ich opiekun również". To właśnie o moim wujku Janku. Z tym, że on wówczas nie zginął. Trafił do oflagu II C Waldenberg, a później ciocia Maryla mieszkająca w Detroit, siostra jego narzeczonej cioci Zosi, pomogła mu się dostać do Anglii, a następnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeszcze o nim wspomnę, a na razie cofnę się do roku 1939. Ojca aresztowano natychmiast po wkroczeniu na nasze terytorium Rosjan po 17 września. Oczywiście w nocy. Wstaliśmy rano i jego już nie było. A mama gnębiona noc w noc rewizjami załamała się i nie chciała już żyć. Nie pamiętam jej pogrzebu. W paru słowach wspomnę o jej rodzinie. Ją i jej siostrę wychowała sama babcia Struczkowska z domu Kumiszcze. Mieszkała we własnym domu w Szczuczynie. Dziadek Bolesław Struczkowski buchalter, człowiek inteligentny i wykształcony, ale o słabym charakterze, nie stroniący od kieliszka, uciekł z kochanką do Petersburga. Założył nową rodzinę, ale nie przestał troszczyć się o babcię i córki. A babcia doskonale dawała sobie radę sama. Była akuszerką. Ludzie ją szanowali.

Uchodziła za wielką emancypantkę – paliła papierosy. Kształciła córki. Moja mama Janina i ciocia Lola skończyły Wyższą Mariańską Żeńską Szkołę w Wilnie. Mam kopię dyplomu cioci Loli. Przez krótki okres moja mama, zanim nie wyszła za mąż pracowała jako nauczycielka.

Ciocia Lola wyszła za mąż za inżyniera, wujka Ludwika. Miała z nim sześcioro dzieci: Jerzego, Ludmiłę, Macieja, Bohdana, Mirkę i Bożenę. Mieszkali w Święcianach we własnym domu. Gdy skończyłam studia pojechałam do Święcian ich odwiedzić. Oni po wojnie nie zdecydowali się na przesiedlenie z Kresów do Polski. Zrobił to tylko ich syn Bohdan ze swoją żoną Rosjanką. Wujek Ludwik natomiast, uznał za swój patriotyczny obowiązek pozostać na ojczystej ziemi, a córki nie chciały zostawić starych rodziców samych. W związku z tym życie osobiste dziewcząt bardzo się skomplikowało, bo ich narzeczeni wyjechali do Polski. Mirka i Bożenka później wyszły za mąż, za Rosjan. Najstarsza Ludka, natomiast, mądra, elokwentna, bystra, skończyła dwa fakultety – dziennikarstwo i polonistykę, nie wyszła za mąż. Wujek Ludwik, przed wojną król życia, na przekór rzeczywistości, w której mu teraz przyszło żyć, usiłował zachować chociaż pozory dawnej egzystencji. W swoim pokoju stworzył sobie kawałeczek Polski i w nim przeważnie przebywał. Jego wystrój bardzo odbiegał od prymitywnej rosyjskiej biedy. Było w nim sporo książek, ściany ozdobione były rogami jeleni i innymi myśliwskimi trofeami – przed wojną wujek był zapalonym myśliwym. Na podłodze leżała duża skóra niedźwiedzia, własnoręcznie kiedyś przez wujka upolowanego. Wujek bardzo dbał o swój schludny wygląd, zawsze starannie się golił, czyścił buty itp. Przestrzegał wobec domowników wszelkich zasad bon tonu i tego samego od nich wymagał. Rano sam sobie przygotowywał śniadanie. Na pół stołu rozścielał biały obrus, rozkładał na nim sztućce, na kolanach kładł serwetkę. Z wielką skrupulatnością, aż do przesady i śmieszności dbał o czystość języka polskiego i bezwzględnie tępił wszelkie obce naleciałości. Nie wolno było przy nim powiedzieć dach, bo to germanizm, „a my mamy przecież naszą polską strzechę". Tak samo nie kolacja, tylko wieczerza, nie kartofle tylko ziemniaki itd. Wujek sam też tworzył różne neologizmy, bo uznał, że niektóre wyrazy w języku polskim zaistniały w nim zupełnie przypadkowo i zdecydowanie należy je wyeliminować. Jako przykład podawał słowo sobota. Twierdził, że wszystkie dni tygodnia oprócz niej są logiczne – poniedziałek bo po niedzieli, wtorek, bo dzień wtórny, środa, bo w środku. No a skąd sobota? Sobota powinna nazywać się szustkiem. Cebulę też nazywał piekula. Wszystkie dzieci i wnuki nie chciały sprawiać dziadkowi przykrości, więc trochę sobie dworując za jego plecami, mówiły tak jak sobie życzył. I tylko harda ciocia Lola nie dawała się zwariować i jak Pan Bóg przykazał cebulę nazywała cebulą, a sobotę sobotą.

Jeszcze na jednym punkcie wujek miał ideę fixe. Tę już od dawna. Rozmiłowany był mianowicie w imionach słowiańskich. Jego dzieci takie imiona nosiły. Teraz chciał, żeby jego dzieci, nazywając swoje dzieci też tej zasady przestrzegały. Gdy wyjeżdżałam od nich do Polski, żegnana szczerymi łzami i sama płacząc, wujek podarował mi swój maleńki skarb – przedwojenny kalendarzyk imion słowiańskich, żebym w przyszłości wybrała z niego imiona dla moich dzieci. A ja niegodna, młoda i głupia zgubiłam go.

Powrócę jeszcze do roku 1939. Przed ojcem, którego po aresztowaniu przez Rosjan, torturowano w więzieniu wszelkimi możliwymi sposobami, ukrywano prawdę o śmierci mamy. Chciano go do tego przygotować. Ale jakiś niewtajemniczony nowo aresztowany na pytanie ojca o zdrowie żony, powiedział mu prawdę. Ojciec w rozpaczy bił głową o ścianę celi. Pozwolono mu zawiadomić ciotkę Helenę. Prosił, żeby się nami zajęła. Była wdową z jednym synem Cześkiem. Zaopiekowała się nami nie z własnej woli i dobroci serca i nie z własnej woli i dobroci serca znalazła się wkrótce z nami na Syberii. Enkawudziści przyszli po nas w nocy 13 kwietnia 1940 roku i na spakowanie się dali 1 godzinę. Ciotka w panice wrzucała do kufra wszystko co jej wpadło do ręki. Ona wrzucała ubrania, a Jurek książki, które ciotka wyrzucała z powrotem. Nie zauważyła tylko „Ogniem i mieczem", „Ryśka z Belmondu" oraz „Poezji Mickiewicza" i pojechały z nami w daleką podróż. Puszek kręcił się koło nas. Jurek uprosił i pozwolono mu zaprowadzić go do znajomego Żyda. Potem dowiedzieliśmy się, że po naszym wyjeździe Puszek wył cały czas, nie chciał jeść i wkrótce zdechł. Enkawudziści nie mieli nakazu aresztowania ciotki i Cześka. Powiedzieli im, że mają jechać z nami tylko do Lidy i tam wysiądą. No, a potem bydlęce wagony zaryglowano i nie było mowy o żadnym wysiadaniu. Wysiedliśmy wszyscy razem, ale nie w Lidzie tylko w Malmutce na Syberii. Z Malmutki aresztowanych, sukcesywnie rozwożono do okolicznych wsi. My trafiliśmy do wsi Olgienka, otoczonej stepami i lasami, położonej niedaleko Iszymu, dopływu Uralu. Do najbliższej wsi było około 30 km, a miasteczko Marienki ze 300, komunikacji żadnej. Gdy nas tam wieziono ciężarowym samochodem ludzie wybiegali na drogę i rzucali nam bochenki chleba. Tę wielką ludzką solidarność w nieszczęściu wspominam teraz ze ściśniętym sercem.

Z Olgienki przenieśliśmy się do wsi Dwojniki. Mieliśmy tam przeżyć sześć długich lat, wolni wprawdzie od bomb i okrucieństwa okupanta, ale gnębieni przez potworny głód i ponad 40-stopniowe mrozy. Musieliśmy podjąć pracę w kołchozie. Głównie jednak żyliśmy z wymiany rzeczy na żywność. „Polacy przywieźli do nas kulturę i ubranie" – mówiła Anna Pietrowna, nauczycielka z miejscowej szkoły. I to była prawda. Gdy ludzie w Dwojnikach już w miarę zaopatrzyli się w nasze rzeczy,

ciotka szła na wymianę do sąsiednich wsi. Nie było to bezpieczne. Stada wygłodzonych wilków grasowały po stepie, buran groził zmyleniem drogi, mrozy były siarczyste. Rozzuchwalone wilki podchodziły do samej wsi i wyły przeraźliwie. Włosy stawały na głowie. Pewnego razu, niedaleko naszej wsi znaleziono rozszarpane przez wilki zwłoki kobiety. Kilka metrów od niej leżało zawinięte w poduszki niemowlę. Mówiono, że wilki ją goniły, a ona rzuciła im swoje dziecko, w nadziei, że się uratuje. One jednak nie tknęły go, a ją dopadły. Chwilę potem jechał tamtędy samochód ciężarowy i kierowca zauważył zawiniątko. Ciotka wędrowała z narażeniem życia, by zdobyć chleb, a Bohdan syn pani Jadwigi, też wędrował, tyle że po polskie książki, bez których jak i bez chleba nie mógł żyć. Wędrował od wsi do wsi szukając Polaków, aby od nich coś pożyczyć. Ludzie nie mogli się nadziwić – głód, wojna, nie wiadomo czy dożyjemy do wiosny, a ten o książkach myśli. Ale głód, który trawił nasze umysły i serca, był nie mniej dotkliwy niż brak chleba. We wsi była szkoła czterolatka. Polacy jednak, początkowo nie zdecydowali się posyłać do niej swoich dzieci, aby uchronić nasze młode umysły przed bolszewicką ideologią. Tak więc przez długie miesiące siedzieliśmy, na nigdy dość ciepłym piecu i marzyli jedynie o tym, żeby najeść się do syta. Jurek sam nauczył się czytać po rosyjsku i w krótkim czasie przeczytał całą szkolną bibliotekę. Gdy jednak końca wojny nie było widać, zdecydowano się posłać nas do szkoły.

Wszyscy poszliśmy do trzeciej klasy – Basia, ja, Tadek, syn pani Jadwigi i Zbyszek, syn pani Wandy. Uczyliśmy się pilnie i bardzo szybko zdobyliśmy sobie miano prymusów. Nie było to wcale trudne, bo ignorancja niektórych dzieci była zastraszająca. Szurka, siostra nauczycielki Tatiany Michajłowny, zapytana przez nią jakie są najwyższe góry Związku Radzieckiego, długo zastanawiała się, przyglądała mapie i w końcu wypaliła: „najwyższe góry Związku Radzieckiego to…. ocean Indyjski”. W zimie chodziłyśmy z Basią do szkoły na zmianę. Mrozy były siarczyste, a w domu tylko jedna para walonek na nas trzy. Jurek umarł w 1943 roku na wiosnę. Miał 17 lat. Nie było lekarza i nie wiadomo na co umarł. Pochowaliśmy go na cmentarzu tuż za wsią. To była pierwsza polska mogiła we wsi Dwojniki. A rok po Jurku umarł Zbyszek. Też nie wiadomo na co. Syberyjskie piekło nie potrafiło nas z Basią złamać i upodlić. Nie było między nami dużej różnicy wieku, ale to ona zawsze opiekowała się mną i chroniła. Gdzieś w 1941 roku do naszej wygłodzonej zapomnianej przez Boga i ludzi wsi Dwojniki zaczęły przychodzić do nas paczki z Ameryki. Paczki przychodziły przez całą wojnę i czasami były dla nas ostatnią deską ratunku. Zawierały prawdziwe skarby: konserwy, smalec, zupy w proszku, herbatę. Wymienialiśmy te produkty na chleb. Za herbatę Kirgizi dawali każdą cenę. Nazwisko i adres zwrotny nadawcy : Maria Jarzębska z Detroit – nic nam nie mówiły.

Sądziliśmy, że to nasz tatuś w jakiś sposób zdobył nasz adres i podał go tej pani. Teraz wiem, że on w tym czasie już nie żył, zamęczony w syberyjskim łagrze, ale wówczas uczepiliśmy się tej nadziei i pomagała nam ona trwać. A Maria Jarzębska okazała się najprawdziwszą ciocią z Ameryki, bo była autentyczną siostrą cioci Zosi, wówczas żoną wujka Janka. I to właśnie ona zdobyła nasz adres od cioci Irenki z Lidy i podała go swojej siostrze Maryli z prośbą o pomoc dla nas. Ciocia Zosia odnalazła nas również po wojnie i zaczęła Basię i mnie zapraszać do siebie na wakacje do Łańcuta, gdzie mieszkała. Wtedy była już oficjalną żoną wujka Janka. Ich ślub odbył się w 1943 roku. Wujek wówczas był w Anglii, a ciocia w Polsce. Ślub więc odbył się na odległość za zezwoleniem papieża. Ciocia Zosia i wujek Janek w tym samym dniu, o tej samej godzinie stawili się każde ze swoimi świadkami w swoim kościele i przysięgali sobie wierność, miłość i uczciwość małżeńską, tyle, że w dwóch różnych krajach. Mam zdjęcie cioci z tej niecodziennej uroczystości przed kościołem w Łańcucie, ofiarowane przez nią Basi. Ciocia piękna, młoda w gronie najbliższych i świadków, w białym kostiumie, kapeluszu z woalką i bez cienia uśmiechu na twarzy. „Z mojego smutnego ślubu, rok 43" – napisane jest ręką cioci na odwrocie. A potem, po wojnie, gdy wujek napisał do niej „wrócę", gdy Lwów i Wilno będą nasze, bo tak mu kazał postąpić honor oficerski i gdy pojawiła się przy nim inna kobieta, nastąpił ich rozwód. Też na odległość i też za zgodą papieża. Ciocia nie pogodziła się z tym nigdy. Do końca życia pozostał on jej wielką miłością. Nawet wówczas, gdy pojawił się przy niej inny mężczyzna. To był Miecio, młodszy od niej o parę lat. Zakochany do szaleństwa i tak samo zazdrosny. Wszystkie zdjęcia wujka sprzed wojny i te z oflagu ciocia Zosia włożyła do dużej koperty i dała Basi. Ja je mam teraz. A listy wujka, dowód jego miłości, ale i zdrady, spaliła w obecności Miecia. To była jej ofiara dla nowego związku i dla Miecia spokoju. Po ślubie Miecio otoczył ciocię wielką troską i opieką, a jego miłości zazdrościły jej te wszystkie niekochane, za mało kochane, odtrącone, samotne. Takich miłości już nie ma i takich mężczyzn już nie ma.

Goniłam po świecie swoje miraże i nie miałam dla niej zbyt wiele czasu. Musiałam koniecznie zrobić maturę, dostać się na studia, jakoś przeżyć, powietrzem gdzieś mieszkać, w coś się ubrać i być szczęśliwą. Byłam sama i oprócz mojej dalekiej obecnie chorej Basi, nie miałam nikogo, kto by mnie wspierał. Sama dokonywałam wyborów podejmowałam decyzje, ponosiłam konsekwencje. Gdy umarła Basia i powiadomiłam ją o tym, napisała do mnie długi serdeczny list. Pisała, że nie może pogodzić się z jej śmiercią, stale ją opłakuje, a ja wiedziałam, że szczerze. Basia wyszła za mąż za Alka z Bydgoskiego, urodziła synka Tadzia Stasieńka i po dwóch dniach zmarła. Dziecko też żyło tylko tydzień. Potem ja wyszłam za mąż. Urodziłam dwoje dzieci. Ciocia cieszyła się. Już nie jesteś sama na świecie. I gdy wreszcie

w miarę bezpieczna, w miarę pogodzona, uspokojona, pojechałam do niej z bukietem róż i z moją córką Ewą, żeby ją jej pokazać i pochwalić się taką piękną, dowiedziałam się, że umarła. Umarła ? Jak to umarła ? A ona umarła naprawdę i zabrała ze sobą do grobu tajemnicę bezgranicznego kochania tylko jednego człowieka przez całe życie. Chciałam zobaczyć się z Mieciem, ale nie zastałam go w domu. Napisałam do niego list i on zaprosił mnie do siebie. Pojechałyśmy z Ewunią. Dwaj starsi panowie, Miecio i jego brat, artysta plastyk, przyjęli nas z wielką serdecznością i galanterią. Spędziliśmy trochę smutny, nostalgiczny, ale miły wieczór z panami o nieskazitelnych manierach, którzy szarmancko twierdzili, że wyglądamy jak dwie siostry, a nie jak matka z córką. I od tej pory zaczęła się moja z Mieciem przyjaźń. Miecio nie umiał sobie poradzić z wielką samotnością i pustką w jakiej się znalazł po śmierci cioci Zosi i rozpaczliwie potrzebował kogoś kto okazałby mu chociaż trochę uwagi. Tak więc jak kiedyś dla cioci, tak teraz dla Miecia, to ja stałam się niezastąpioną powierniczką i pocieszycielką. Kiedyś Miecio zadzwonił do mnie. Długo kluczył, aż wreszcie mimochodem wspomniał, że po śmierci nie będzie pochowany razem z ciocią Zosią w Łańcucie, tylko w rodzinnym grobie w Mielcu, gdzie teraz mieszka. Chcę żebyś o tym wiedziała, Aleńko. Powiedział to, a ja przeraziłam się, wpadłam w panikę, bo już zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że Miecia może w moim życiu zabraknąć. Mogę nie odpowiadać na Miecia listy, nie dzwonić, zapominać o urodzinach, ale świadomość tego, że istnieje ze swoją wprost nadzwyczajną pamięcią i troską, taką samą jaką kiedyś otaczał ciocię Zosię stała mi się niezbędna. Czasami wspólnie z Mieciem odwiedzamy grób cioci Zosi. Gdy pociąg, którym jadę do Łańcuta zatrzymuje się w Rzeszowie, wyglądam przez okno i widzę, jak Miecio idzie szybkim krokiem z sakwojażem w jednej i ogromnym bukietem dla mnie w drugiej ręce. Wchodzi do pociągu i z miejsca nieszablonowe Miecia zachowanie, jego kurtuazja i wielka względem mnie troskliwość zwracają powszechną uwagę. Miecio oczywiście nie zwraca na nikogo uwagi. Dla niego istnieję tylko ja. Sytuacja ta krępuje mnie, ale trzymam się dzielnie. Tak sobie postanowiłam. Co mnie obchodzą jacyś obcy ludzie. Ważne jest tylko to, żeby Miecio był zadowolony. Po przyjeździe do Łańcuta bierzemy taksówkę i jedziemy na cmentarz. Zosieńko, jestem, przyjechałem do Ciebie z Alą – mówi Miecio i puka w granitową płytę cioci grobowca. Zapalamy znicze i ja ze smutkiem myślę, czy jej tak bardzo udręczone serce znalazło tam wreszcie ukojenie. Potem Miecio zaprasza mnie do pięknej stylowej restauracji w parku przy zamku i rad by mi nieba przychylić. Bawi anegdotami, komplementuje. Dla Miecia mam zawsze osiemnaście lat, mój uśmiech jest uśmiechem niewinnego dziecka, a oczy tak jak i oczy cioci Zosi mają kolor bławatków. Oczywiście wiele można mówić i to nie musi być prawda. Ale to co mówi Miecio jest prawdą, bo on mnie taką widzi i ja się przy nim taka czuję. I wszystkie

jego komplementy są prawdziwe, tak jak i on sam z czarnym wąsikiem, z sygnetem na palcu, też jest prawdziwy, chociaż zupełnie niedzisiejszy. Miecio oczywiście wspomina. A ja, jak zwykle, zupełnie nie potrafię zrozumieć, że te już dawno przeżyte i przecierpiane sprawy, jego wciąż tak bardzo nieodmiennie bolą. - Ona nie potrafiła o nim zapomnieć – żali się – wciąż był dla niej bohaterem, a przecież sama musisz przyznać, że postąpił podle. I powiem ci nawet w tajemnicy, Aleńko, podejrzewam, że oni przez te wszystkie lata korespondowali ze sobą poza moimi plecami. Miecio mówi to z wielkim bólem i goryczą. Mój Boże czym on się zadręcza? Ciocia Zosia nie żyje, wujek Janek nie żyje i jakie to może mieć już teraz znaczenie? – myślę. A dla Miecia wciąż ma, jakby to o czym mówi działo się przynajmniej pół roku, a nie pół wieku temu. Miecia zadziwiająca uczciwość i wspaniałomyślność, granicząca w dzisiejszych czasach niemal z absurdem, zdumiewa mnie i …. zachwyca. On nie tylko zrzekł się wszelkich praw do domu, gdzie przeżył z ciocią całe życie, na rzecz o wiele od niego, zasobniejszej siostry cioci Zosi i wyprowadził się do brata, ale w ten sam nierozważny sposób pozbył się i innych dóbr, w tym oryginalnych Kossaków. Jak on z tą swoją szlachetnością i honorem przeżył tyle lat na tym przecież nie najlepszym i nie najsprawiedliwszym ze światów pozostanie dla mnie tajemnicą. Ale właśnie taki, zupełnie niepraktyczny i bezinteresowny, staroświecko szarmancki, z muszką, z dewizką od zegarka, z łacińskimi przysłowiami i od pół wieku zakochany w tej samej kobiecie, jest mi potrzebny, niezbędny wśród tych wszystkich goniących tylko za forsą i zaszczytami. I cieszę się, że jest jeszcze na świecie chociaż jeden jedyny, może już ostatni z ostatnich szlachetny rycerz z La Manchy i ja go znam.